

ALICJA ŁAZUKA

ur. 1925; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Lublin, II wojna światowa, dzielnica Wieniawa, dzieciństwo, Żydzi, opaski z gwiazdą Dawida, wysiedlenie Żydów, pomoc Żydom, prześladowanie Żydów, niemiecki obóz koncentracyjny na Majdanku, brat, matka

Sytuacja Żydów podczas II wojny światowej

Żydzi byli bardzo zmartwieni, zdenerwowani. Musieli nosić wszyscy opaski z tymi gwiazdami, no ale jeszcze jakoś życie przez tych parę miesięcy, dokąd [Niemcy] ich z tej Wieniawy nie zabrali, chyba z rok jeszcze, było dla nich takie swobodne. Ale to nie żadna swoboda, bo Żyd nie mógł się poruszać, nie mógł wyjść, miał opaskę na przedramieniu z gwiazdą i to już mówiło o tym, że to jest Żyd. Oni byli bardzo... przez Polaków nie, ale przez Niemców byli okropnie prześladowani przecież.

W [19]42 roku, jak godzina była czwarta rano, było stukanie bardzo głośne. To było na wiosnę, chyba kwiecień, pamiętam, że to było na wiosnę. Wstał ojciec, jest czwarta godzina rano, nawet może wcześniej, bo jeszcze szaro było, otworzył i Niemiec wszedł. Oczywiście żandarm taki, jak to oni mieli tych z tymi trupimi główkami. Rozejrzał się, pytał czy Polen, Polak. Ojciec mówi: „Polak”. Myśmy jeszcze spali. Rozejrzał się, potem zobaczył krzyż, zobaczył, że obraz wisi, wszedł i na tym się skończyła jego wizyta. Natomiast wszystkich Żydów wyrzucili, wszystkich. Z nami też to samo zrobili, tylko w parę miesięcy po Żydach, bo oni sobie tam upatryli to miejsce, że oni sobie zrobią tam swój jakiś obszar taki zamknięty, coś tam w takim stylu. Żydów wszystkich zabrali na Majdanek, bo wszystkich zabierali, bez względu na to, czy na Wieniawie, czy na innej ulicy. Oni ich spędzili. Nie wolno było nic zabierać. Kto chciał, to sobie tam wziął jakąś torebkę z czymś. Mieszkania wszystkie zostały pootwierane. Nie wolno było zamykać za sobą mieszkań, tylko pootwierane te mieszkania. Wszystkich ich zabrali i popędzili na Lubartowską, i tam na tej Lubartowskiej zrobili getto. A z tej Lubartowskiej to na Majdanek zabrali. No, Żydzi bardzo płakali, prosili o pomoc, o ratunek. No, tu tych Polaków bardzo mało było. Do mojej mamy też znajoma Żydówka przyszła i zaczęła strasznie ją po rękach całować, prosić, żeby wyratowała jej matkę, bo Niemiec wejdzie. A było tak, że Niemiec sprawdzał mieszkania, chodzili Niemcy po mieszkaniach i jeżeli jakiś kaleka czy jakiś

chory Żyd leżał, to go zabijali na miejscu. Nie zabierali, nie tego, tylko od razu zabijali. W związku z tym ona się strasznie bała, że matkę zastrzelą, a matka była chora. No i chciała, żeby ją wywieźć. Ale moja mama mówi: „Jak ja wywożę? Jestem ja, jest moja córka ta, a tu nie ma nikogo. Ani chłopców, ani nic. Jak ja wywożę?”. Bo nie było akurat nikogo wtedy. No, tak gdzieś koło godziny dziesiątej to się działo, o jedenastej to już wszyscy poszli do pracy, nie było nikogo. No i ja stałam, słucham, jak ona płacze, mi tak żal się jej zrobiło. Ja mówię: „Oj, mamusiu, to ja wywożę”. Mama mówi: „Gdzie ty, moje dziecko, pójdziesz?”, Ale nim moja mama i to powiedziała, nim jeszcze zakazała, to ja byłam już w połowie drogi z tą Żydówką, żeby tę matkę wywieźć. No i pomyślałam sobie, jak tu ją wywieźć, ale pomyślałam sobie tak, że wywożę ją jako moją babkę. I ponieważ żydowski język jest bardzo zbliżony do niemieckiego, a niemalże taki sam i łatwo było – kto umiał trochę po żydowsku – porozumieć się z Niemcami, więc ja poszłam do tego żandarma, który stał na alei Długosza i spytałam, czy on mnie puści, bo ja mam babcię chorą – „bubełę” się nazywa babcia po żydowsku – to ja chciałam babcię do lekarza. No, powiedział, że tak. No to ja wzięłam dorożkę, ale nie powiedziałam dorożkarzowi, że to Żydówka, bo by nie pojechał, tylko że to po moją babcię, bo chora. I cały czas ona była moją babcią. I wzięłam z tymi betami, poduszki, pierzynę, tam jakieś tam ciuchy na tę dorożkę nawsadzałam i ją tam położyłam na tej dorożce, i wywozłam. Żydówka czekała przy końcu tej ulicy, jak się krzyżują Spokojna i Ewangelicka. No, ale tu też na Wieniawskiej stał żandarm, ale żandarm stał na Wieniawskiej na początku Wieniawskiej, a ja jednak miałam szczęście skrócić jeszcze przed tym żandarmem, tak że nikt mnie już nie kontrolował. Chociaż się przygotowałam, jak mniej więcej powiedzieć, że tamten mi zezwolił. No, ale zawiozłam, oddałam tę dorożkę z dorożkarzem i z tą bubełę, z tym wszystkim tej Żydówce. No, ta Żydówka dziękowała, jak mogła. No, ale więcej jej nie widziałam już.

To było od rana do popołudnia, gdzieś tak do godziny pierwszej, drugiej. No, można powiedzieć, że od czwartej rano, od trzeciej, do jakiejś drugiej, trzeciej – to już byli Żydzi na Lubartowskiej wszyscy. Wtedy Symche został zabrany, Zlate, nawet się z nimi nie pożegnałam, nawet ich nie widziałam, kiedy i co, bo ja byłam zajęta tą starą Żydówką, wywiezieniem, a oni zostali wypędzeni z tego mieszkania i zabrani, i nie wiem, z nimi się więcej nie widziałam.

Tam na Wieniawie to było tak mało Polaków, tak że tych Polaków się znało, Żydzi znali, dobrze znali. Tak samo jak Żydówki znały i Żydzi mnie też dobrze znali. Te wszystkie puste mieszkania zostały rozwalone, bo to były takie mieszkania, to nie były kamienice, to nie były duże domy. Te większe domy to też zostały rozwalone, te takie murowane budynki piętrowe czy parterowe z facjatami, ale oni przeważnie mieli z jakichś takich desek, jeśli z cegły, to nie z cegły, tylko z kamienia białego. No, tam się trafiały może i z cegły, ale zostały rozwalone, bo oni sobie tam właśnie szykowali, mieli sobie tam coś pobudować, Niemcy, na tej Wieniawie. Domy rozwalali sami Żydzi, ci, co zostali zabrani na Majdanek, ale nie ci z Wieniawy. Może i byli ci, ale nikt

nie wiedział, bo kto mógł wiedzieć? Oni zawsze o godzinie ósmej rano szli z Majdanku na piechotę na Wieniawę i rozwalali te wszystkie domy, burzyli i z cegieł, i te murowane. Żeby dostać się do mieszkania, to trzeba było przejść koło tych domów, koło tych Żydów, tych pasiaków. Ja słyszałam, jak oni idą, to ja się strasznie denerwowałam i bałam, bo straszny taki rytm tych drewniaków słychać było, taki huk, taki stuk, bo oni tak rytmicznie szli, a mieli drewniaki na swoich nogach i tymi drewniakami tak tłukli.

No, między tymi Żydami to żeśmy tam jeszcze pomieszkali ładnych parę miesięcy, bo z nami na drugi rok tak też tak wiosną to to samo zrobili co z Żydami. Ale przez ten czas jak oni to burzyli, przez to lato, to myśmy koło nich przechodzili. Oni byli strasznie biedni. Patrząc na tych Żydów, to serce się krajało i płakać się chciało. Ci esesmani to już taka najgorsza kategoria, taka najpodlejsza Niemców, oni im kazali, jak któryś książkę jakąś tam swoją żydowską gdzieś tam znalazł, to kazał mu czytać, modlić się. Tak się znęcali nad nimi. Mieli szpicruty takie długie, to były takie nahajki, takie baty. Bardzo eleganckie te baty były – bo Niemcy wszystko mieli bardzo eleganckie – były robione z takiego rzemienia brązowego, na końcu były kulki takie, bo to na końcu one były cięte, na takie cienkie strzępy, a na tym były jeszcze kuleczki takie metalowe po to, że jak biją, to bardziej boli. I rani, i boli. I oni z tymi szpicrutami tak w rękach chodzili i: „Czytaj!”. I ten taki bidny, widziałam takiego starego w okularach, no, to okropnie. No ale co ja mogłam zrobić? Nie wolno mi było. I tak żeśmy pomagali bardzo, jak oni przychodzili. Oni nie przychodzili zaraz tego samego roku, jak ich zabrali, tylko oni przychodzili burzyć to wszystko, jak z nami zrobili taką czystkę. I potem myśmy wrócili do mieszkania, ponieważ ojciec pracował w fabryce maszyn rolniczych i my żeśmy jeszcze mieszkali, to oni wtedy właśnie przychodzili burzyć te swoje mieszkania, te swoje domy, to wszystko burzyli.

Stach został zabrany na Majdanek. W związku z tym moja mama ogromnie rozpacziała za swoim dzieckiem, za moim bratem, a widziała tych Żydów tak biednych, tak głodnych, że oni tam nie wiem, co by zjedli, jakby zobaczyli, bo oni byli tak wychudzeni i wygłodzeni. Ten dom, w którym myśmy mieszkali, miał na zewnątrz kran, z którego się brało wodę dla koni do picia. Mama miała taki gar duży, taki żeleźniak do gotowania ziemniaków dla świń, a miała ziemniaki z działki w piwnicy, brała w ten gar te ziemniaki, gotowała na kuchni. I ugotowane już te ziemniaki w łupinkach stawiała przed tym – żeby były całe, żeby się nie rozpadały, to były w łupinkach, żeby oni mogli sobie wziąć do kieszeni czy jak tam tego ziemniaka – niby to na wodę ten gar stoi. A oni się dowiedzieli o tym garnku i przylatywali już po te ziemniaki. Ale jeżeli jeden brał, to już i drugi leciał, i trzeci, i czwarty. Strasznie dużo ich się naleciało i oni więcej tych ziemniaków rozrzucili, jak do kieszeni wzięli, bo się po prostu o te ziemniaki bili. Trochę po głupiemu robili, bo trzeba było tak jakoś pojedynczo, znienacka po te ziemniaki pójść, a oni całą gromadą. Trwało to chyba około dwóch tygodni. Przez dwa tygodnie mama tak te ziemniaki gotowała i stawiała. No i wreszcie jest rano, przychodzi do nas granatowy policjant. Na Wieniawie dyżury

pełnili, i do tego wyganiania, i do rozbierania tych [budynków] też była granatowa policja. To byli Polacy, którzy chcieli służyć w tym jako policja. Nie wszyscy chcieli, ale byli tacy, którzy się godzili u Niemców pracować i służyć jako policja. I przyszedł policjant do mojej mamy, zapukał do domu. Mama go puściła, rozejrzał się po mieszkaniu i spytał wręcz mojej mamy: „Czy to pani wystawia ten garnek z ziemniakami na dwór? Bo to grozi karą śmierci. Nie wolno! Ja zobaczyłem i pani zwracam uwagę”. A moja mama zaczęła strasznie płakać i mówi, że ma syna na Majdanku i że ona ich rozumie, że to są więźniowie. „Jeśli pani nie chce, żeby cała rodzina znalazła się na Majdanku, ewentualnie żebyście zostali tutaj na miejscu rozstrzelani, to radzę pani tego nie robić”. I moja mama przestała już te ziemniaki gotować, bo to już nie było sensu, bo już oni dowiedzieli się, policjant już wiedział, i powiedział: „Ja nie powiem, zachowam to w tajemnicy, ale radziłbym pani się uspokoić”. No i w związku z tym mama przestała te kartofle gotować. Ja przechodziłam bardzo blisko nich i bardzo często mama dawała chleb – jeśli było z czymś, to był z czymś, a jeśli nie to nie, więcej było bez jak z czymś, bo nie było, myśmy sami nie mieli – i rzucałam ten chleb zniecka tak Żydowi, bo to było blisko i można było, trafnie tak, bo to się przechodziło bardzo blisko. No, schował zaraz za pazuchę, nie w kieszeń. Wdzięczny był, a ja przechodziłam jak gdyby nic, podskakując jednocześnie, udając, że tak sobie podskakuję, żeby nie było tak to widoczne. Tak że ile się mogło, tyle się im pomagało. Ale niestety nie można było wiele.

Data i miejsce nagrania	2015-02-24, Lublin
Rozmawiał/a	Jacek Jeremicz
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"